

VI-3

NASZA SZKOLA

MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.



BIBLIOTECA
da Sociedade de Cristo
Curitiba PR

LAMIGŁÓWKA: Lew
Ewa
War

SZARADA: pierwsza i druga pa - ra
druga i trzecia ra - na
całość: Parana

PRZESTAWIANKA: toga
gato

ZAGADKA: papieros

Rozwiązania nadesłali:

Lamigłówkę, szaradę, przestawiankę i zagadkę (5 punktów) Bolesław Jankowski, Zygmunt Wierchoń, Łódzia Bajda, Józefa Boroń, Bolesław Ostrowski, Bolesław Kędziński, Zofia Zagińska, Bolesław Budasz, Zbigniew Rzewuski, Ligja Gruszczyńska, Marja Moskalewska, Wiktor Stańczyk, Róża Czełuśniak, Kazimierz Puchalski, Antoni Kostrzewicz, Zygmunt Rozkosz, Antoni Wendrychowski, Antoni Czełuśniak, Józef Abramowski, Józef Święch, Gabryel Rybka, August Pabis, Feliks Rozkosz, Paweł Teledziński, Adam Opata, Michał Ślusarz i Henryk Bochenek.

Lamigłówkę, szaradę i przestawiankę (4 punkty): Filomena Stopa.

Szaradę [2 punkty]: Cecylja Plucińska, Mieczysław Osiński.

Szaradę, przestawiankę i zagadkę [4 punkty]: Paulina Mazur, Joanna Chojnacka.

Szaradę i zagadkę [3 punkty]: Helena Domańska, Szczepan Nizio, Anna Nabożna i Antonina Nabożna.

Lamigłówkę, szaradę i zagadkę [4 punkty]: Tadeusz Panek, Lidja Smolkówna.



LISTY REDAKCJI:

Do Tadzia Mrozińskiego w Pinheiral de Cima. Brakujące numery wysłał, pewnie już otrzymałeś?

Do Cecylki Leś, Geni Wiatrowskiej, Janka Górskiego, Bronka Rybińskiego, Józka Górskiego, Gertrudy Symeryk i Józka Mazura w Pinheiral de Cima. Za listki dziękujemy. »Nasza Szkółka« jest bardzo ucieszona, że się Wam podoba. A co się Wam najlepiej podoba z każdego numeru »Naszej Szkółki?« — napiszcie. Jeden z Waszych listków umieścimy.

Do Tadzia Panka. Nie wszystko dobrze rozwiązałeś. Zaliczone punkty są ogłaszane w każdym numerze.

Do Bolka Mażuchowskiego, Ludwika Świerdzowskiego, Michała Trzeciaka, Julki Boszczowskiej, Aleksego Boszczowskiego, Mani Cionkówny, Zapominalskiej (zapomniała się podpisać), Leonka Wąsowicza i Wojtka Olbrycha w Lagôa das Almas. Za listy dziękujemy. Opiszcie nam, jak spędzacie niedzielę lub święto.

Do Paulinki Neumanówny, Franka Sieradzkiego, Bronka Kotelaka, Franka Zarzyckiego, Franka Kollrossa, Dudusia Pasternaka, Anieli Kościańskiej, Łodzi Reway, Wandzi Kubiakówny, Kazia Koppe, Kundzi Bartnikówny, Wity Narlochówny, Longina Flenika, Roberta Landowskiego, Rózi Jankowskiej, Stasia Roma-

NASZA SZKÓŁKA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.

Kiedy u nas deszczyk pada,
Kiedy niema słońka,
W raju zawsze jest pogoda
I zielona łąka.

Więc aniołki rozbawione
Pod drzewem tańczą,
Buzie wszystkich uśmiechnięte,
Bez końca figlują.

Hopsa, hopsa, tańczą wkółko,
W górę spoglądają,
Bo zniecka na ich główki
Owoce spadają.

A gdy zmęczą się hasaniem,
Usiądą pod drzewem,
Przyjemnie jest odpoczywać
Pod wiatru powiewem

Be.



W DNIU IMIENIN MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

Dnia 19 marca obchodzimy Imieniny Wodza Narodu Polskiego, Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jemu to, Józefowi Piłsudskiemu zawdzięczamy, że Polska, rozebrana przed stu kilkudziesięciu laty przez sąsiadów, zjednoczyła swoje ziemie i jest znów wolnym krajem.

Zanim się to stało, zanim Polska odzyskała wolność, wiele pracy trzeba było przeprowadzić — wiele trzeba było wysiłków.

Właśnie do tej pracy nad odbudową Polski zagrzewał i powoływał wszystkich Polaków Józef Piłsudski.

On to — Józef Piłsudski organizował jeszcze przed wojną europejską różne tajne organizacje i związki strzeleckie, aby przygotować Naród do walki o wolność. On to zapoczątkował wojsko polskie, tworząc w 1914 roku bohaterskie Legjony, które zaraz na samym początku wojny wyruszyły na bój przeciwko Rosji, śpiewając radośnie:

„Raduje się serce, raduje się dusza,
Gdy pierwsza kadrówka na Moskale rusza.“

A gdy już wielka zawierucha wojenna była na ukończeniu, gdy Piłsudski powrócił z niewoli niemieckiej, dokąd zabrali go Niemcy za to, że Polskę chciał budować, gdy już w 1918 roku powrócił do Warszawy, wtedy cały naród polski powołał Piłsudskiego na swego Wodza — na swego Naczelnika. I rządził tak Piłsudski przez 4 lata.

On to właśnie utworzył pierwszy prawdziwy polski rząd, On to zorganizował wojsko i powołał do życia Sejm, który Polsce prawa uchwalał.

A gdy Polsce zagrażała nowa niewola, gdy bolszewicy chcieli Polskę rozgrabić, wtedy Piłsudski ze swym wojskiem rozbija w proch dzikie hordy i odpedza je precz od wrót stolicy Warszawy, a sam dalej znów bierze ster do swej silnej ręki i rządzi Polską, dziś razem z Prezydentem Mościckim, a rządzi dobrze i mądrze.

Widzimy więc, że całe życie Piłsudskiego było służbą dla Polski — jest to, jak widać, jedyny człowiek w Polsce, który ma du-



szę wodza i tak wielką moc, że na jego rozkaz ludzie na śmierć idą, a idą z rozkoszą w duszy i z pieśnią na ustach.

Słusznie też mówi o Piłsudskim jeden z pieśniarzy, że nikt tak, jak Piłsudski Polskę w sercu, a śmierć w tornistrze nosił.

Popatrzcie, dzieci, na mapę, a zauważycie, że Polska pod rządami Marszałka Piłsudskiego rozrasta się coraz bardziej. Mamy już Górny Śląsk, Poznańskie, Pomorze i Wilno. Wszystkie stare ziemie polskie złączyły się w jedną nierozzerwalną Rzeczpospolitą Polską!

Od gór Karpackich, hen od Krakowa aż do morza Bałtyckiego płynie poprzez wolny kraj Polski szara Wisła, królowa naszych rzek. A nad tą Wisłą pośrodku wznosi się dumnie stolica nasza Warszawa, gdzie mieszka i urzęduje teraz Pierwszy Marszałek Polski, minister wojny, Józef Piłsudski!

Właśnie, jak już powiedziałem, dnia 19 marca cała Polska jak długa i szeroka obchodzi Imieniny Marszałka Piłsudskiego.

Dzieci Kochane, niech więc Wasze dziecięce serduszka w dniu tym mocniej zabiją. Przyłączmy się i my do naszych braci w Polsce i życzy my Panu Marszałkowi wszelkiej pomyślności w jego pracach i przeslijmy z głębi serc naszych płynące wyrazy czci i hołdu za to wszystko, co uczynił dla Narodu polskiego nasz kochany Wódz!

A gdy zbierzecie się w szkołach na obchodach narodowych, to niechaj z piersi Waszych popłynie gromki okrzyk:
Marszałek Józef Piłsudski niech żyje!

W. Gr. K c w a l s k i.



DANUSIA U BABCI.

Po całomiesięcznej podróży Danusia znalazła się w objęciach babci. Babcia całowała, pieściła Danusią bardzo, bo dopiero poznała swoją kochaną wnuczkę. (Danusia urodziła się w Brazylii). Danusia tak pokochała babcię, że nawet o mamusi zapominała. W Warszawie chodziła z babcią na spacer do dużego ogrodu, a po drodze wstępowała do sklepu i wybierała sobie najładniejsze zabawki. Najlepiej Danusia lubi lalki. Dostała więc kilka lalek. Każdej lalce dała jakieś imię. Więc miała Hankę, Zosię, Ninę i Krysię.

Hanka była piękna, duża lala, miała długie warkocze sliczną porcelanową buzią i zamykała oczy.

Pewnego dnia wzięła Danusia swą Haneczkę na spacer. Idąc, zobaczyła chłopca z balonikami.

— Babciu, kup mi balonik, ten duży, czerwony, Danusia tak lubi balony. Podskoczyła z radości i Hanka — ta kochana laleczka, wypadła z rąk Danusi na asfalt. Rozbiła się na drobne kawałki. Danusia w płacz. Płakała długo. Szkoda jej było Haneczki, ale bab-

cia pocieszyła, przypominając jej, że ma jeszcze Zosię, Ninkę i Krysię.

— I balon — eichutko mówi Danusia, ocierając łezki.

Wróciwszy ze spaceru, tłumaczyła trzem pozostałym laleczkom: — wiecie, że już nie macie swojej siostrzyczki Hanki. Umarła, naprawdę umarła.

Wuj Zbyszek chciał zabawić Danusię, żeby zapomniiała o swoim nieszczęściu. Złapał Zosię i pokazywał, jak to krakowianki tańczą krakowiaka. Bo Zosia była śliczną celuloidową lalką w krakowskim ubraniu.

Po tej zabawie usiadł wuj w fotelu i zapalał maszynką papierosa.

— Ja zgaszę, zdmuchnę, wujku. Biegnie Danusia prędko, trzymając Zosię. Celuloidowa główka Zosi dotknęła dużego płomienia, zapaliła się i spłonęła. Tego samego dnia drugie nieszczęście spadło na Danusię.

Długo bawiła się Danusia dwiema pozostałymi laleczkami. Nadszedł upalny lipiec.

— Pojedziemy, Danusiu, na wieś, do lasu. Będziemy zbierać jagódki, grzyby. Nie widziała jeszcze nigdy Danusia ani jagódek, ani grzybków, to też wcale się nie cieszyła.

— Danusia pojedzie, ale weźmie ze sobą laleczki. Zapakowała babcia potrzebne rzeczy, oczywiście i laleczki również. Dwa miesiące spędzała czas Danusia w pachnącym sosnowym lesie.

— Wiesz, babciu, w Brazylii niema jagódek ani czarnych, ani czerwonych.

— Ale zato są banany i ananasy.

Postanowiła Danusia pokazać swojej Nince, jak to się zbiera jagódki i zabrała ją do lasu. Pod lasem płynęła rzeka i trzeba było przechodzić przez most. Na moście zatrzymały się. Danusia przyglądała się rybkom, jak wesoło pluskają w wodzie, a Ninkę położyła na barjerze. Za chwilę bardzo szybko przejeżdżał wóz. Most zatrzęsł się — i Ninka spadła i spoczęła na dnies rzeki.

Rozpacz Danusi trudno opisać.

Została się jej tylko jedna laleczka, Krysią, mały nagusek w pieluszkach i w poduszeczce.

Siedzi Danusia na łóżeczku, usypia Krysiunię i śpiewa:

Lulajże, córeńko,
Lulaj, moja mała.
Wszystkie mi pomarły,
Tys jedna została.

B. S.



MACIEK I-szy, KRÓL POWIETRZA.

(Skrót dla »Naszej Szkołki« z książki K. A. Czyżowskiego).

(2) Na powietrznych bezdrożach.

Tak szybko wszystko się stało, że dopiero rzeźwe powietrze ocuciło Macieka i zrozumiał, że sam prowadzi aeroplan, swojego Orła.

Mróz przeszedł na myśl, jakie trudy go czekają i jak tatuś będzie się gniewał, ale po chwili znów radość niesłychana. Spełniło się jego marzenie!

Orzeł szybował coraz wyżej. Ziemia zapadała się coraz głębiej pod nogami. Maciek spojrzął na wysokościomierz i odczytał, że jest na 800 m. w górze, szybkość lotu 160 km. na godzinę. Doskonale idzie, ojciec się za syna nie powstydzi.

Przez sekundę zawałał się, czy trafi do tego Bukaresztu, ale przypomniał sobie, że ma mapy i busolę, na której znał się dostatecznie.

Przed nim wisiała mapa w przezroczystej okładce, z zakreślona czerwonym ołówkiem drogą na Bukareszt i Konstantynopol.

Na mapie zanotowane były odległości

Droga prowadziła przez Lwów do Bukaresztu i wynosiła 970 km., a z Bukaresztu do Konstantynopola jeszcze 420 km.

Maciek puścił motor na pełne obroty i szybkość 200 km. na godzinę. Obliczał, że w Bukareszcie powinien być jeszcze przed południem.

— Aparat sunął jak ptak. Wsie za wsiami przepływały w dole, a Maciek oglądał cuda mijanej ziemi.

Powoli zbliżał się do Lwowa. Tę drogę dobrze znał, bo odbył ją kilkakrotnie z ojcem

Z góry więc zobaczył jakiś kopiec i wielkie miasto o wielu wieżach, rozsiadłe szeroko wśród zieleni. Wszystko to wyglądało jak jakie zabawki.

Po chwili Lwów zniknął poza horyzontem, a jakieś nieznanne wsie się pokazały. A ta wstążka niebieska tam na dole to napewno rzeka Prut.

Zdziwiło go wprawdzie, że zamiast lecieć równoległe do niej, jak wskazywała mapa, przecinał jej kierunek, ale uważał, że to napewno nie rzeka się pomyliła, lecz on, więc sterem wykręcił aparat więcej ku wschodowi, i starał się o ile możności płynąć nad srebrzącą się wodą.

Według linii na mapie nakreślonej powinien się zwrócić więcej na południe, ale — rzeka pokazywała inaczej.

Wprawdzie i busola wskazywała, że jedzie na wschód, a nie na południe, ale Maciek wolał wierzyć swoim oczom i oczywiście rzece aniżeli busoli.

Po godzinnym locie Maciek jednak zauważył, że zbłądził. Zasmucił się, bo zbłądzić w powietrzu to — znaczy rzucić cień na swoją zastęgę lotniczą.

cia pocieszyła, przypominając jej, że ma jeszcze Zosię, Ninkę i Krysię.

— I balon — cichutko mówi Danusia, ocierając łezki.

Wróciwszy ze spaceru, tłumaczyła trzem pozostałym laleczkom: — wiecie, że już nie macie swojej siostrzyczki Hanki. Umarła, naprawdę umarła.

Wuj Zbyszek chciał zabawić Danusią, żeby zapomniała o swoim nieszczęściu. Zapał Zosię i pokazywał, jak to krakowianki tańczą krakowiaka. Bo Zosia była śliczną celuloidową lalką w krakowskim ubraniu.

Po tej zabawie usiadł wuj w fotelu i zapalał maszynką papierosa.

— Ja zgaszę, zdmuchnę, wujku. Biegnie Danusia prędko, trzymając Zosię. Celuloidowa główka Zosi dotknęła dużego płomienia, zapaliła się i spłonęła. Tego samego dnia drugie nieszczęście spadło na Danusię.

Długo bawiła się Danusia dwiema pozostałymi laleczkami.

Nadszedł upalny lipiec.

— Pojedziemy, Danusiu, na wieś, do lasu. Będziemy zbierać jagódki, grzyby. Nie widziała jeszcze nigdy Danusia ani jagódek, ani grzybków, to też wcale się nie cieszyła.

— Danusia pojedzie, ale weźmie ze sobą laleczki. Zapakowała babcia potrzebne rzeczy, oczywiście i laleczki również. Dwa miesiące spędzała czas Danusia w pachnącym sosnowym lesie.

— Wiesz, babciu, w Brazylii niema jagódek ani czarnych, ani czerwonych.

— Ale zato są banany i ananasy.

Postanowiła Danusia pokazać swojej Nince, jak to się zbiera jagódki i zabrała ją do lasu. Pod lasem płynęła rzeka i trzeba było przechodzić przez most. Na moście zatrzymały się. Danusia przyglądała się rybkom, jak wesoło pluskają w wodzie, a Ninkę położyła na barjerze. Za chwilę bardzo szybko przejeżdżał wóz. Most zatrzęsł się — i Ninka spadła i spoczęła na dnio rzeki.

Rozpacz Danusi trudno opisać.

Została się jej tylko jedna laleczka, Krysią, mały nagusek w pieluszkach i w poduszeczce.

Siedzi Danusia na łóżeczku, usypia Krysiunię i śpiewa:

Lulajże, córeńko,

Lulaj, moja mała.

Wszystkie mi pomarły,

Tys jedna została.

B. S.



MACIEK I-szy, KRÓL POWIETRZA.

(Skrót dla »Naszej Szkołki« z książki K. A. Czyżowskiego).

(2) Na powietrznych bezdrożach.

Tak szybko wszystko się stało, że dopiero rzeźwe powietrze ocuciło Macieka i zrozumiał, że sam prowadzi aeroplan, swojego Orła.

Mróz przeszedł na myśl, jakie trudy go czekają i jak tatuś będzie się gniewał, ale po chwili znów radość niesłychana. Spełniło się jego marzenie!

Orzeł szybował coraz wyżej. Ziemia zapadała się coraz głębiej pod nogami. Maciek spojrzął na wysokościomierz i odczytał, że jest na 800 m. w górze, szybkość lotu 160 km. na godzinę. Doskonale idzie, ojciec się za syna nie powstydzi.

Przez sekundę zawahał się, czy trafi do tego Bukaresztu, ale przypomniał sobie, że ma mapy i busolę, na której znał się dostatecznie.

Przed nim wisiała mapa w przezroczystej okładce, z zakresłoną czerwonym ołówkiem drogą na Bukareszt i Konstantynopol.

Na mapie zanotowane były odległości

Droga prowadziła przez Lwów do Bukaresztu i wynosiła 970 km., a z Bukaresztu do Konstantynopola jeszcze 420 km.

Maciek puścił motor na pełne obroty i szybkość 200 km. na godzinę. Obliczał, że w Bukareszcie powinien być jeszcze przed południem.

— Aparat sunął jak ptak. Wsie za wsiami przepływały w dole, a Maciek oglądał cuda mijanej ziemi.

Powoli zbliżał się do Lwowa. Tę drogę dobrze znał, bo odbył ją kilkakrotnie z ojcem

Z góry więc zobaczył jakiś kopiec i wielkie miasto o wielu wieżach, rozsiadłe szeroko wśród zieleni. Wszystko to wyglądało jak jakie zabawki.

Po chwili Lwów zniknął poza horyzontem, a jakieś nieznanne wsie się pokazały. A ta wstążka niebieska tam na dole to napewno rzeka Prut.

Zdziwiło go wprawdzie, że zamiast lecieć równoległe do niej, jak wskazywała mapa, przecinał jej kierunek, ale uważał, że to napewno nie rzeka się pomyliła, lecz on, więc sterem wykręcił aparat więcej ku wschodowi, i starał się o ile możności płynąć nad srebrzącą się wodą.

Według linii na mapie nakreślonej powinien się zwrócić więcej na południe, ale — rzeka pokazywała inaczej.

Wprawdzie i busola wskazywała, że jedzie na wschód, a nie na południe, ale Maciek wolał wierzyć swoim oczom i oczywistej rzece aniżeli busoli.

Po godzinnym locie Maciek jednak zauważył, że zbłądził. Zasmucił się, bo zbłądzić w powietrzu to — znaczy rzucić cień na swoją zastugę lotniczą.

Ale nie było innej rady — trzeba było wylądować w pobliżu jakiejś wsi, i dowiedzieć się, gdzie się właściwie jest.

Począł tedy Maciek upatrywać jakiejś wsi i dogodnego miejsca obok niej do wylądowania.

Na horyzoncie zamajaczyły jakieś zabudowania. Zbaczając z drogi, skierował się ku nim. Było to miasteczko.

Upatrzwszy dość równe pole do lądowania, począł z wolna obniżać lot.

Wtem, pomimo głośnego trajkotu motoru, usłyszał nad sobą jakiś ostry, przeciągły gwizd, jakby powietrze się pruło, zobaczył dym i płomień, potem — suchy huk.

Maciek był synem żołnierza, więc poznał, że to był strzał armatni.

Zaledwie zdał sobie z tego sprawę, a tu już drugi, trzeci gwizd coraz bliżej niego.

Nacisnął ster i spuszczać ogon ptaka, dziobem wymierzył w górę, chcąc czempredziej znaleźć się na takiej wysokości, aby go kule armatnie nie mogły dosięgnąć.

Największy czas już był, gdyż kilka obdymionych płomieni wybuchło tuż pod Orłem.

Maciek nie mógł zrozumieć, kogo tak rozdrażniła białoczerwona tarcza na skrzydłach aparatu.

Przecież nie Węgrów, ani Rumunów. Czyżby zatem zabłądził aż nad Sowdepję?

Musiał się jednak dowiedzieć, gdzie jest.

Gdy miasto znikło z oczu, postanowił zasięgnąć języka w jakiejś najnędzniejszej wiosce. Rozumował — im mniejsza wioska, tem mniejsze niebezpieczeństwo.

Właśnie zdecydował się już lądować, gdy zobaczył jakiegoś człowieka, wymachującego ku niemu bluzą zdjętą z siebie, dającego jakies znaki.

Orzeł sfrunął na łąkę i lekko podskakując, przysiadł na niej.

Człowiek z bluzą co tchu przybiegł do Maćka i składając ręce zawołał:

— Oj, paniczu, zbawco mój, zabierzcie mnie ze sobą!

— A ktoś ty taki?

— Ja jestem Bartek Paciorek, kapral z 3-ciej dywizji 40 kompanji karabinów maszynowych wojsk polskich, — od roku 1920 w niewoli bolszewickiej zostający.

— To, to Bolszewicy?

— A co panicz myślał?

— A co to za miasto leży tam na północy?

— To Proskurów.

— A ty jakies się tu dostał?

— Byłem ranny i złapali mnie. Potem chcieli mnie powiesić — ale, paniczu, nie pora teraz na opowiadania, patrz, patrz!

Od wsi biegła gromada ludzi z widłami i kosami.

Czempredziej wsiedli do aeroplanu, a Maciek jeszcze spytał:

— Tyś od karabinów maszynowych?

— Tak jest.

— Siadaj zatem przy karabinie! Trochę inaczej się strzela, ale dasz sobie radę w razie czego.

Tymczasem od północy nadciągnęło prawdziwe niebezpieczeństwo: 3 aeroplany.

— Gonią — krzyknął Bartek.

— Zobaczymy, czy dogonią — odkrzyknął Maciek. Aeroplany zbliżały się szybko. Zapóźno było na ucieczkę.

Maciek starał się wzbić jak najwyżej. — Czuł jak mu krew pali i biega i jak serce łomocze. Coś mu wewnątrz szeptało, że powinien podjąć walkę.

Zdecydował się. Zanim pogoń zorjentowała się w jego manewrze, on już z ucieczki przeszedł do ataku.

— Bartek, widząc co się święci, bez żadnej komendy puścił w ruch karabin maszynowy na doganiający ich z boku aeroplan.

Ale i z najbliższej nieprzyjacielskiej maszyny posypał się grad kul, z których kilka ugodziło w skrzydła Orła.

Maciek szarpnął Orłem i znalazł się prosto nad nieprzyjacielem.

Sekunda, — pociśnięcie guzika i jedna bomba z pod skrzydła orłowego runęła na wroga. Chybiła. Druga — i straszny huk rozdarł powietrze. Wróg ugodzony w kadłub leciał w dół na zdruzgotanie, objęty olbrzymimi płomieniami.

Pojawił się drugi aeroplan i zasypał ich gradem kul.

Orzeł zafalował swym dziobem, Maćka przeszedł mróz przerażenia. Kilka ostrych świstów przesyczało nad głową Maćka.

Za nim rozległ się krzyk Bartka, ale wśród hałasu piekielnego nie zwrócił uwagi.

Maciek miał teraz jeden aeroplan przed sobą, drugi śrubował na niego.

Sekunda. Dźwignia w dół i w lewo. Orzeł zatoczył łuk dziobem i runął za pierwszym.

Druga dźwignia i Orzeł dziób zadartszy, podważył ogon nastpnika z taką siłą, że w okamgnieniu aparat wywrócił się bruchem do góry, a Maciek tuż prawie pod sobą zobaczył wykrzywioną śmiertelnym strachem twarz pilota.

Ugodzony aparat próbował ratunku w szybkim splanowaniu.

Trzeci wróg już nie próbował ataku. Posłał tylko zdala grad jazgotliwych kul i zwiął.

Maciek odetchnął. Obejrzał się poza siebie, ale na ustach zamarł mu krzyk przerażenia.

Bartek Paciorek okrwawiony siedział jak nieżywy.

Zabili go — pomyślał Maciek. Ale w powietrzu niema czasu na żale. Sekunda nieuwagi może spowodować katastrofę, tembardziej, że Maciek nie wiedział, czy czasem nie jest uszkodzony aparat.

Za wszelką cenę chciał się dostać poza granicę.

Maciek myślał: — to złe miasto zowie się Proskurów, to do granicy nie będzie więcej jak 100 km. W takim razie najdalej za godzinę będzie już w bezpiecznym miejscu.

Po pewnym czasie obejrzał się znów. Głowa Bartka już nie zwisała martwo, oczy były nawet otwarte, tylko patrzyły jakos głupkowato. Prawdopodobnie zdawało się Maćkowi, że jest już w niebie.

Teraz przelecieli nad wspaniałą rzeką. To był Dniestr — granica między Ukrainą a Rumunją.

Po piętnastu minutach przelecieli drugą wstęgę. To był Prut. W pół godziny później wylądowali na przeslicznej łące, tuż pod jakąś sporą wieściną.

Maciek przede wszystkim zajął się Bartkiem. Rękę i głowę obandażował mu czystą własną koszulą, wyjętą z walizy. Potem zostawił Bartka przy aparacie, a sam poszedł do miasta po lekarza.

Po drodze spotkał już gapiów, idących zobaczyć, co to za samolot spadł im z nieba.

Miasteczko nazywało się Botuczany i leżało na prostej drodze do Bukaresztu.

Maciek znał dobrze język francuski i trochę niemiecki, łatwo też mógł się rozmówić z mieszkańcami.

Gdy się Botuczanie dowiedzieli, że młody chłopak jest polakiem i że ma rannego towarzysza, uciekiniera z bolszewickiej niewoli, chcieli ich koniecznie zabrać do miasta.

Maciek jednak podziękował — musiał lecieć dalej, aby czemprędzej dojechać do celu.

Dobrzy Botuczanie naznosili przeto im jedzenia i picia, że utworzył się istny biwak.

Pomiędzy nimi wodził rej Bartek, którego rany okazały się bardzo lekkie.

Maciek oglądał swojego Orła, czy aby niema uszkodzeń poważnych. Nie było.

Uradowany spojrzął w stronę biwaka i oto zobaczył kaprała Bartłomieja Paciorka już w jakimś mundurze z błyszczącymi guzikami, przemawiającego stujęcznym żargonem do wzruszonych słuchaczy.

Na widok Maćka, kapral wskazał ręką i zawołał:

— Oto heroi, held, bohater, geroi! ban! bassamakutia!

Tłum wpadł w szal i porwał Maćka na ręce i zaintonował jakąś pieśń, zaczynając się od słów: »Slai dlui...»

— Tak, tak! — poddał Bartek Lali pluli, a i tak w skórę dostali i uciekli do mamy, bassamakutia!

Maciek wysunął się z objąć Botuczany, podziękował im i krzyknął: — Bartek, wsiadamy!

Do aparatu wsiąść nie mogli, bo oba miejsca były załadowane najrozmaitszymi produktami i flaszkami z winem.

Maciek chciał to wszystko powyrzucać, ale Bartek sprzeciwił się.

— Ho, ho, niewiadomo jeszcze, co nas spotkać może. Wszak jedziemy do Bukaresztu, a później do Turków?

— Ale to ciężar zbyt ciężki.

Jak się zje, to nie będzie wazyło, kochany komendancie! I zanim Maciek nalał benzyny do zbiornika, Bartek wszystkie zapasy tak zręcznie porozmieszczał, że się miejsce dla nich znalazło! Ruszyli w dalszą drogę. (C. d. n.)



Kochane Dzieci!

Chciałabym Wam dziś pokazać, jak dobrą jest Marja, jak prędko spieszy z pomocą i jak umie strapionych pocieszyć, kiedy się do Niej w szczerzej modlitwie o pomoc udajemy.

Posłuchajcie następującego wydarzenia: Matka dziewięcioletniej Maniusi leżała ciężko chora, prawie umierająca. Obok niej siedziała Mania ze swą ciocią, siostrą chorej. Lekarz właśnie badał chorą.

— Panie doktorze, czy jest ratunek? — pyta z drżeniem ciotka.

— Przykro mi bardzo... przykro mi, lecz nie chcę pani ludzi nadzieją — rzekł doktor.

— Panie, ratuj! — jęknęła kobieta z rozpaczą.

Doktor zbliżył się do chorej, chwycił za puls i dodał: — serce bardzo słabe, nadziei niema żadnej, chyba że cud ją uzdrowi.

Biedna Manusia z zapartym tchem słuchała rozmowy ciotki z doktorem. Słowa lekarza »niema nadziei«, chyba cud... jakby strzałą zraniły serduszko Mani. Cichutko wysunęła się do swego pokoiku, gdzie miała ustawioną figurę Niepokalanie Poczętej Marji Panny i padła przed nią na kolana. Drobne jej rączki wyciągnęły się z prośbą ku Pocieszycielce strapionych.

— O Marjo! — szeptały bez przerwy jej blade usteczka, — daj zdrowie mamusi! Ty wiesz, o Matko, że ja tylko jedną mam na świecie, nie dopuść, abym została małą sierotą!

Łzy przerwały dalsze jej słowa, więc tylko wpatrzona w twarz Marji Niepokalanej, błagała o ratunek. W ciągu swej głębokiej modlitwy uczuła nadzieję, pewną nadzieję, że modlitwa jej została wysłuchana.

Z całą wiarą i wdzięcznością wyrzekła więc: »O Matko Najświętsza, ufam, że mnie wysłuchałaś, dziękuję Ci za to — i w dziękczynnej już tylko modlitwie i spokojnie pozostała nadal u stóp Bogarodzicy.

Tymczasem minęło kilka godzin. Chorej rzeczywiście się polepszyło, a zdziwiony lekarz oświadczył, że niebezpieczeństwo minęło i chora niedługo odzyska zdrowie. Oszałała z radości ciotka wpadła do pokoju Maniusi, aby jej oznajmić radosną nowinę. Zdziwiła się bardzo, gdy nie zastała dziewczynki w łóżku; ogląda się wokoło i spostrzega jej postać klęczącą przed Marją.

— Dziecino — zawołała — co ty tu robisz, czemu nie jesteś w łóżeczku? Przyszłam ci oznajmić, że mamusia wyzdrowieje.

— Wiem o tem, ciciu, — odparła Manusia z radością, i usta jej zaczęły pokrywać pocałunkami stopy i ręce Marji, Pocięszycielki strapionych.

O, jakby się Marja cieszyła, gdyby tak wszystkie dzieci do Niej z taką wiarą o pomoc się udawały. Spróbujcie tylko, a same poznacie, że macie w niebie najlepszą Matkę. W obecnym roku 1930 Marja w szczególny sposób próśb naszych wysłuchuje — a z jakiego powodu — opowiem Wam na przyszły raz.

Tymczasem do widzenia.

Wasza przyjaciółka Siostra N. N.

Piosnka przy młóceniu.

Łupu cupu! łupu cupu!
cepami w stodole.

Już zniknęły bujne łany,
puste nasze pole.

Łupu cupu! łupu cupu!

ukończono żniwo.

Teraz trzeba zboże młócić.

Spieszmy się co żywo!

Łupu cupu! łupu cupu!

na środku klepiska.

Po klepisku szczerem złotem
pszeniczka połyska.

Łupu cupu! łupu cupu!

dobrze nam się dzieje!

Przez otwarte drzwi w stodole

plewy wiatr wywieje!

Łupu cupu! łupu cupu!

zdarzyło się zboże.

I dla ciebie ziarenek starczy,
wróbelku nieboże.

A. Kwiecińska z „Płomyczka“



W sekretarjacie największego pracownika świata.

(Dokończenie opowiadania Janka)

Kilka godzin zleciało mi szybko na oglądaniu olbrzymiej pracy słońca. Przyszło mi do głowy pytanie, co by się stało, gdyby tak słońce zgasło albo gdyby ziemia odsunęła się od słońca? Już miałem o to krasnoludka zapytać, gdy usłyszałem jego głos:

— Widziałeś już dzisiejszą pracę słońca. Teraz zobaczysz, co

słońce robiło dawniej. Zejdź z krzesła »teraźniejszość« i siądź na krześle »przeszłość«.

Zaledwie się przesiadłem i dotknąłem szpilką globusa w okolicach naszej kolonji, zobaczyłem, jak las koło naszego domu zaczął się szybko zmiejszać, po minucie były już tylko małe krzaczki. Spojrzałem na nasze podwórko i zobaczyłem tatusia, ale był nie większy ode mnie i co chwila robił się mniejszy. Dziadus, który już przecież nie żyje, ukazał mi się, jako młody człowiek i robił się coraz młodszy...

Czy wiecie, co to za czary były?

Cofałem się w czasie, widziałem, co było na naszej kolonji 10 lat temu, 20, 30, 40 50 lat temu. Oto widzę, jak dziadus, młody człowiek jeszcze, rąbie olbrzymie drzewa, buduje dom, przygotowuje kawałek pola pod uprawę kukurydzy. Cofnąłem się jeszcze o 2 lata i widzę, jak dziadus jedzie z Europy do Brazylii.

Krasnoludek co chwila wyłrzykiwał, jak daleko cofnęliśmy się w czasie: — 50 lat, 100, 200, 300, 400 lat — oto widzę całą Brazylię porośniętą wielkimi lasami, w lasach tych żyją indjanie, do brzegów Brazylii zbliżają się ze strony Europy małe okręcki żaglowe. To pierwsi Europejczycy płyną do nowej, dotychczas nieznannej ziemi, — 1000 lat, sto tysięcy milion, drugi, trzeci... jadę bez przerwy w przeszłość. Świat zmienia się, ludzie już niema na świecie, zwierzęta inne i znacznie większe. O brzymie lasy...

— Przypomnij sobie, gdzie są duże kopalnie węgla — odezwał się krasnoludek — i postaw tam szpilkę.

— Wiem, — Górny Śląsk w Polsce — już jest! Lecz co to? Zamiast lasu kominów — olbrzymi las, pełen kolosalnych drzew — paproci. Drzewa te targane wichrami wałają się na ziemię, grzęzną w mule, twardzieją i po tysiącach i milionach lat zamieniają się w czarny węgiel kamienny.

— Oto nowe dzieło słońca — odezwał się krasnoludek — gdzie dziś są wielkie kopalnie węgla, dawniej szumiały wielkie lasy. Lasy te zwały się na ziemię, zostawały pokryte warstwą oddzielającą je od powietrza i zamieniały się stopniowo w pokłady węgla. W węglu dzisiejszym przechowuje się to ciepło, które dawniej przed milionami lat słońce wysyłało do ziemi i które drzewa ówczesne pochłonęły.

Przymknąłem oczy. Od milionów lat słońce na ziemi pracuje. Pod ziemią nawet znajdujemy skarby przez nie złożone. Co by się stało z nami, gdyby tak słońce zgasło albo odsunęło się od ziemi?

Z zadumy wyrwał mnie głos krasnoludka:

— Przesiądź się teraz na krzesło »przyszłość«, zobaczysz, co się stanie ze słońcem i z nami w przyszłości.

Ze wzruszeniem zmieniłem miejsce. Zaledwie usiadłem na krześle »przyszłość« i szpilką dotknąłem miejsca na globusie, gdzie jest nasza kolonja, zobaczyłem nasz dom, który jakoś się pochylił i zestarzał, zobaczyłem mojego młodziutkiego braciszka, który już był dorosłym człowiekiem i starzał się szybko; las koło naszego do-

mu zniknął gdzieś, a na jego miejscu rosła śnieżna pszenica; lata mijają za latami w ciągu kilku minut — posunąłem się szybko w czasie w nieznaną przyszłość.

Krasnoludek kazał mi szpilką wędrować po wielkich miastach i po całym świecie, a sam wykrzykiwał co chwila, jak daleko posunęliśmy się w czasie.

Rok 2000. Nie widać już na świecie koni, ani wozów: Ludzie jeżdżą autami, aeroplanami. Orzą ziemię olbrzymie maszyny elektryczne, sieją, koszą, młóca, miela — człowiek tylko dogląda, czy wszystko idzie dobrze.

— Rok 3000. Świat zupełnie niepodobny do dzisiejszego. Całą pracę za człowieka wykonywuje elektryczność. W nocy widno, każde miejsce na ziemi oświetlone elektrycznością.

Nie wytrzymałem i zwróciłem się do krasnoludka z pytaniem:

— Skąd się bierze na świecie tyle elektryczności? Przecież wiem, że elektryczność można wytwarzać, ale żeby jej wytwarzać aż tyle, to trzeba na to olbrzymich ilości węgla kamiennego — skąd ludzie wzięli tyle węgla?

— Poszukaj szpilką jakiegoś miasta — odpowiedział krasnoludek, — a w tym mieście największego domu.

— Znalazłem — Warszawa!

Największy dom miał na dachu olbrzymią kulę szklaną, a pod nią cały szereg lusterek wklęsłych. Światło słoneczne skupiało się przy pomocy tych lusterek w jeden punkt i było tak gorące, że błyskawicznie rozgrzewało olbrzymie masy wody w rurach. Woda rozgrzana zamieniała się w parę i poruszała wielkie maszyny elektryczne. Elektryczność po drutach wędrowała po całym kraju.

Widzisz odezwał się krasnoludek — dziś już węgiel niepotrzebny. Światło słoneczne wystarczy, żeby człowiekowi świecić w dzień i w nocy, żeby go ogrzać i żeby na niego pracować. Człowiek nareszcie korzysta z dorobku największego pracownika świata.

Posunęliśmy się jeszcze kilka tysięcy lat w przyszłość.

Poszukałem szpilką pustyni Sahary. Gdzie dawniej było morze piasku, teraz szumiały cudne drzewa wielkiego ogrodu świata. Maszyny słoneczne pompowały potrzebną wodę, a słońce grzało, grzało...

Poszukałem szpilką biegunów na ziemi. Dawniej w tym miejscu były nieprzebyte góry wiecznego lodu, teraz piękny las pełen zwierza. Ludzie zbudowali olbrzymi księżyc szklany i on dziś odbija światło słoneczne i ogrzewa te okolice.

— Wielki jesteś, człowiecze! — wykrzyknąłem, patrząc na te cuda myśli ludzkiej.

— I cóż człowiek zrobiłby bez słońca? — zaprzeczył krasnoludek. Nie wytrzymałby nawet roku, gdyby tak słońce zgasło, albo odsunęło się od ziemi.

— Ale niema chyba obawy — słońce nie zgaśnie, ani nie porzuci ziemi?

— Bądź spokojny, nie stanie się to tak prędko, jeszcze ludzie mają sporo milionów lat czasu, żeby pokazać do czego są zdolni.

Opuściłem cudowną pracownię sekretarza słońca. Krasnoludek odprowadził mnie do brzegu lasu, gdzie znalazłem swój dom, tatusia, mamusię, braci i siostry. Opowiadam im o moich podróżach — nie wierzą mi, śmieją się ze mnie. Chciałem ich zaprowadzić do krasnoludka, ale pałacu znaleźć nie mogłem.

Piszę to wszystko w »Naszej Szkółce«, ale boję się, że i wy mi nie uwierzycie.
K. L.



Wyprawa na Jamboree.



W lipcu zeszłego roku odbył się w Anglii olbrzymi zlot harcerzy z całego świata. Z każdego państwa cywilizowanego brało udział w zlocie po kilkuset harcerzy. Z Polski przyjechało na zlot 800 harcerzy, z Brazylii też kilkuset.

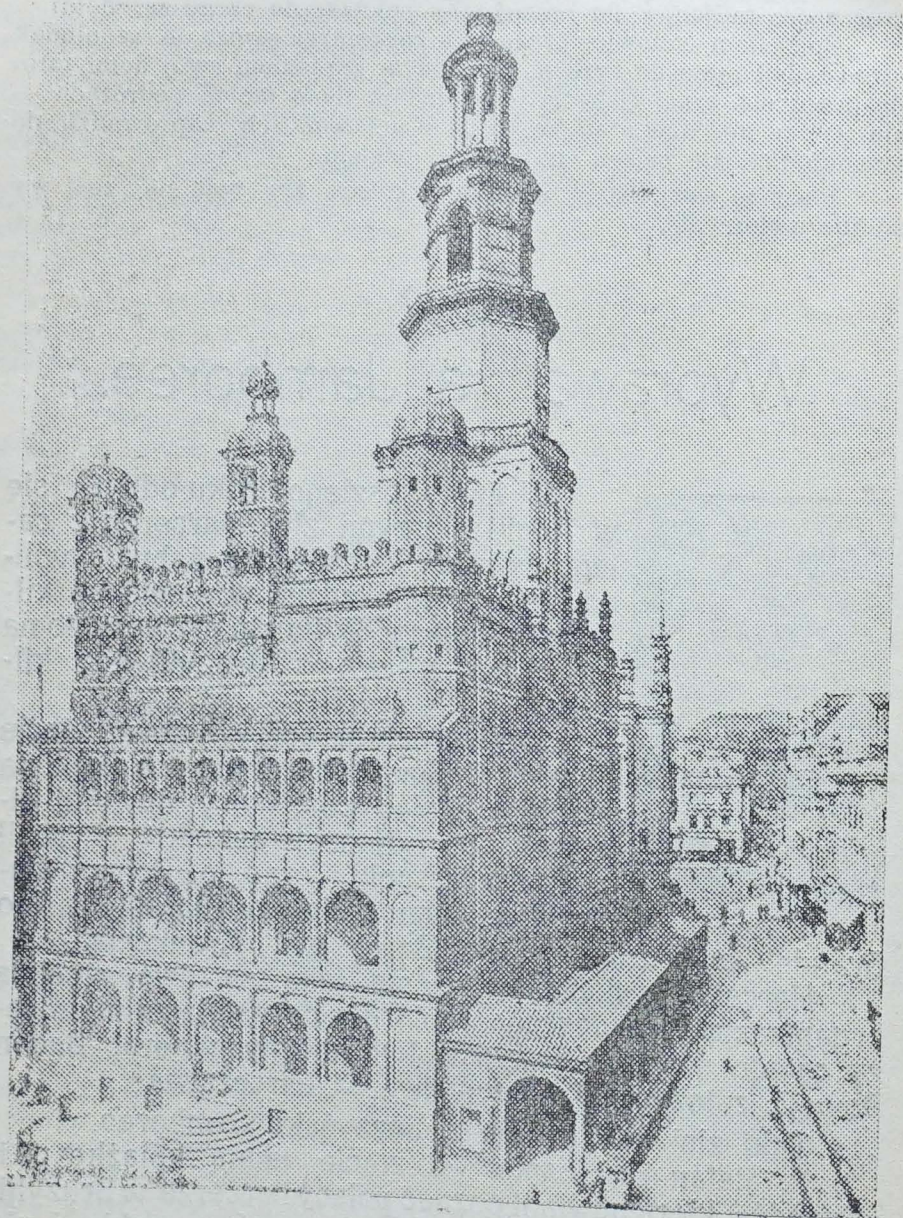
Wszystkich harcerzy było na zlocie 50.000. Z Waszych znajomych byli na zlocie p. Stefan Łoś, który dawniej pisywał do »Naszej Szkółki« i robił niektóre rysunki, oraz p. Roman Wachowicz, nauczyciel z Floresty z Rio Grande a później z Rio Baixo pod Araukarją.

Harcerze wykazali na zlocie, jaką są dziś potężną organizacją i ile dobrego robią dla dorastającej młodzieży całego świata. Na zlocie był obecny generał Baden Powell, założyciel i główny twórca harcerstwa.

Taki zlot nazywa się z murzyńska Jamboree.

P. Stefan Łoś napisał o zlocie ładną książkę p. t. »Czendź«, którą powinni poznać polscy harcerze w Brazylii. A czemuż to harcerze nie dają znać o sobie i nie piszą nic do »Naszej Szkółki«?





Ratusz w Poznaniu.

Wystawa w Poznaniu.

Jak już wiecie, odbyła się w przeszłym roku w Poznaniu Powszechna Wystawa Krajowa. Na Wystawie Polska pokazała, co w przeciągu dziesięciu lat robiła.

Nie macie nawet pojęcia, czego tam nie było na tej Wystawie. Były aeroplany robione w Polsce, lokomotywy, auta, materiały wełniane, jedwabne, lniane i bawełniane, wyrabiane w Polsce. Wszystkie dzieci z Polski i z zagranicy pokazały swoje prace.

Był również nasz brazylijski pawilon, ale niestety od dzieci tutejszych prawie nie było, przynajmniej bardzo mało. A pamiętacie, jak »Nasza Szkółka« zwracała się do Was o przesyłanie różnych rzeczy na Wystawę? W przyszłości pewno się poprawicie?



Przyjaźń ze świnią.

Owca o białej wełnie
Do świń przystała zupełnie:
Z niemi jada, z niemi chodzi
I mówi: »A cóż to szkodzi?
One zostaną świnią, ja owcą zostanę.

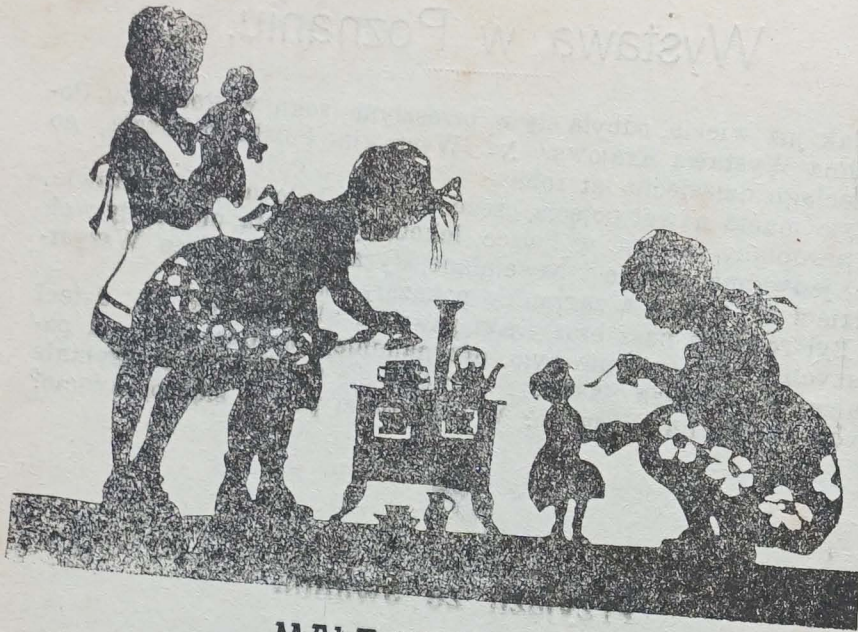
Za miesiąc mówi: »Z ochotą
Ze świnią kładę się w błoto.
Niech się nawet śmieją ze mnie,
Ja mówię, że to przyjemnie.
Każdy na te świnki gada,
A to jest miła gromada
I przestaję z niemi rada.

Za dwa miesiące powiada:
»Przyznać mi szczerze wypada,
Że to nie żadna szkarada
Te okrzyczane pomyje,
Ja je z przyjemnością piję.

I kiedy taką miłość do swinek powzięła,
Po roku — chrząkać zaczęła.

J. Ost.





MAŁE KUCHARKI.

Największym marzeniem Tereski było otrzymać prawdziwą kuchenkę, pod którą możnaby rozpalać ogień. Nadszedł dzień Imienin. Tereska otrzymała dużo prezentów, a między innymi kuchenkę — taką o jakiej marzyła.

Przykrzyło jej się samej bawić, bo nie miała ani siostrzyczki, ani braciszka. Zaprosiła więc swoje najlepsze koleżanki Kasię i Jasię.

— Wiesz, Kasiu, ugotujemy obiad dla lalek.
— Ja umiem doskonale gotować pochwaliła się Jasia.
Zabrały się do roboty.

W jednym garnuszku postawiły trochę fizonu, w drugim ryżu, w trzecim mleko, a w imbryku wodę.

Wszystko już nastawione. Gotuje się. Małe kuchareczki poszły sprzątnąć pokoiki lalek, lalki ładnie ubrać, a potem chciały je nakarmić.

Wróciły do kuchenki. Zaglądają do garnuszków i... co się stało? Ryż i fizon przypalony, mleko wykypiało, a woda wygotowała się.

— To twoja wina, Jasiu, bo tyś miała gotować.
— To twoja, ty jesteś gospodynią w tym domu.
Posprzeczały się trochę. Niedługo jednak ta sprzeczką trwała, bo lalki i tak jadły przypalony ryż i fizon.

B.

nowskiego, Paulinki Augustyn, Alfonsa Fieczarki, Lidki Augustyn, Teodora Seneki, Jędrka Kościańskiego, Adasia Słomińskiego, Edzia Lisa, Weroniki Pałeckiej, Cezarego Andrzejewskiego i Edzia Kollrossa w Iravopolis. Tych, którzy pierwszy raz piszą do »Naszej Szkołki«, witamy z radością. Lidce Augustyn i Longinowi Flenikowi, Frankowi Zarzyckiemu i Bronkowi Kotelakowi życzymy, żeby się Wasze dążenia spełniły. Czy Paulinka Neumanówna ma ochotę zostać siostrą, czy tylko ksiądz jej tak przepowiada? Napiszcie nam pewno, jak się odbyły misje?

Do Wojtka Filipaka, Wojtka Kuca, Adasia Pańki i Edzia Waleczka w Alto da Serra. »Nasza Szkołka« bardzo się cieszy z Waszych pierwszych liścików i czeka na więcej wiadomości z Waszej kolonji.

Do Mietka Osińskiego w Iraty. Czy obecnie dużo dzieci czyta »Naszą Szkołkę«? Jakie przedstawienie urządzą? Czy już grasz na skrzypcach?

Do Stasi Tabaczyńskiej, Zygmunia Bednarskiego, Polci Odorczyk, Wandzi Zerek i Karolei Hajduk w Treze de Maio. Czy już się buduje nowa szkoła? Pewno się cieszyacie, że będziecie miały dużą szkołę, dużo kolegów i koleżanek?

Do Emilci Ziółkowskiej i Cecylki Celńskiej w Guajuvirze. Piszecie, że lubicie się uczyć — to może po skończeniu szkoły w Guajuvirze będziecie się dalej kształcić? Poproście Waszych Tatusiów, to może Wam pozwolą przyjechać do Kurytyby.

Do Zosi Furmanówny w Pavão. Zagadkę i Łamigłówkę dobrze rozwiązałaś, ale rebus źle — choć taki łatwy.

Do Joasi Chojnańskiej i Paulinki Mazur w Vera Guarany. Paulince uwzględniamy spóźnione nadesłanie rozwiązań i pozdrawiamy Was również serdecznie.

Do Marci Sierakowskiej i Karolinki Mrozówny. Pieniądze otrzymaliśmy — dziękujemy.

Do Tadzia Nowackiego w União da Victoria. Na skutek Twego listu zapisałeś do tej pory nie otrzymaliśmy. — »Naszą Szkołkę« wysłaliśmy, ale pieniądze do tej pory nie otrzymaliśmy.

Do Rysia Hawińskiego w São Paulo. Pieniądze otrzymaliśmy — dziękujemy. Książeczki o węzłach mamy — kosztują po 1\$000.

Do Marysi Kłosińskiej w Ipirandze. Zapisaliśmy Cię do książki prenumeratorów na rok 1930. Bardzo prosimy o przysłanie należności.

Do Cecylki Plucińskiej w Lageado Valeriano. Brakujące numery wysłaliśmy. Za list do koleżanki w Polsce dziękujemy.

Do Bolka Jankowskiego w Cruz Machado. Punkty zaliczamy. Za pozdrowienia dziękujemy.

Najukochańsza »Nasza Szkołko«!

Przepraszam Pana Redaktora, że tak długo nie pisałem, ale nie byłem w domu. Byłem w mieście z moim bratem, więc nie dostawałem »Naszej Szkołki« i nie pisałem do niej, bo jej nie czytałem. A teraz już jestem na kolonji i piszę drugi raz. Proszę mi przysłać »Naszą Szkołkę« na 1930 rok.

Donoszę Panu Redaktorowi, że p. Nauczyciel przygotowuje uroczystość na 3-go Maja. Od dziś uczymy się deklamacji, śpiewu i t. d. Będziemy mieć małe przedstawienie, które odegramy w dzień uroczystości. Ja też będę przedstawiał.

Posyłam panu Redaktorowi serdeczne pozdrowienia.

Tadeusz Mroziński.

Pinheiral de Cima, 26 Itego, 1930 roku.

Prenumerata roczna »Naszej Szkołki« wynosi 5\$000.

Prenumeratory »Naszej Szkoły« otrzymują »Naszą Szkołkę« bezpłatnie.

Redaktor: Konstanty Lech. Curityba, Caixa postal 412.
Wydawca: Zrzeszenie Nauczycielstwa Szkół Polskich w Brazylii.



ROZRYWKI UMYSŁOWE

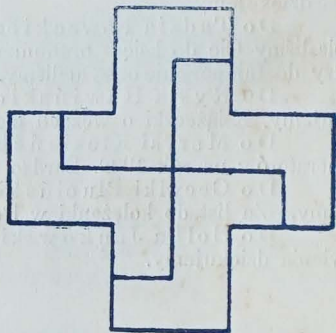
Zagadka (za rozwiązanie 3 punkty)

Kiedy się posuwa — ślad za sobą kreśli,
 Utrwała w ten sposób ludzkie słowa — myśli,
 W bardzo czarnej cieczy często się zanurza.
 Zagadka skończona, choć taka nieduża.

Szarada (za rozwiązanie 3 punkty)

Pierwsza jest twarda, z niej bywa siekiera,
 Druga — to znowu zwyczajna litera.
 Całość w dzisiejszej zagadce ukryta
 Kto to rozwiąże, nikogo nie spyta?

Łamigłówka — rozcinańka,
 Narysuj, porozcinaj, pomieszaj, układaj.
 Czy łatwo?



• • • •
 • • • •
 • • • •
 • • • •
 • • • •
 • • • •
 • • • •
 • • • •

Łamigłówka (za rozwiązanie 5 punktów)

(ulożył Zbyszek Rzewuski)

Zamiast kropek wpisać litery, żeby pierwsze, czytane z góry nadół, dały nazwę pewnej stolicy.

Znaczenie wyrazów: 1. Napój alkoholowy, 2. Uratowała ludzi od zagłady 3. Stolica Łotwy, 4. Ptak nocny, 5. Pseudonim Zeromskiego, 6. Imię Mickiewicza, 7. Powstaje z pary, 8. Część świata.

Rebus (za rozwiązanie 2 punkty)

